



25 Marca 1911 r.

DZIAŁ DLA DZIECI.

Nr. 12.

## LALKA STOKROTKA.

VIII

(d. c.)

— Bielizna dla mojej pani! bielizna gotowa? — wołały od progu.

— Gotowa, gotowa—zakrzatnęła się praczka.—Jeno zawinąć! niech panie zaczekają... Hej, pani, pani!—wołała jeszcze, oglądając się za sąsiadką. Lecz tamtej już nie było.

— Głupie dzieciaki!—wrzasnęła praczka, zawijając bieliznę—dać było lalkę, kiedy chciała. Ta niemowa przecie ledwie zipie... Antośka, a pomóż-że układać! Walek, trzymaj maglownik!

Spiesząc się, poczęli wszyscy przekładać bieliznę z jednego kosza do drugiego, który przyniosły służące. Lalka „Stokrotka“, leżąc na wznak, tak jak rzuciła ją Antośka, uczuła się nagle przygniecioną, wtłoczoną między dwa stosy prześcieradeł, zawiniętą w maglownik i przyłożoną drugim stosem.

W chwilę później dwie służące, śmiejąc się i żartując, zniosły kosz z bielizną i lalkę „Stokrotkę“ ze stromych schodów facyatki. Za niemi wyszła praczka.

Na facyatce chwilę panowała cisza, wreszcie Antośka ziewnęła szeroko, przeciągnęła się i rzekła:

— I nie dałam lalki!

— Dobrześ zrobiła!—przytwierdził Walek.

— Mała się zapłaczła!

— Będzie jej zdrowiej.

— A jak mama jeszcze raz każe nam oddać lalkę?

— Wielka rzecz! nie posłuchamy!

— Najlepiej tak ją schować, żeby jej nikt nie znalazł!

I Antośka poczęła oglądać się po facyatce.

— Gdzież ona jest? przecież ją tu położyłam!

Zaczęli szukać oboje, przerzucając wszystkie rzeczy, zaglądając pod łóżka,—napróżno!

Gdy już przejrzeni wszystko od dołu do góry, stanęli na przeciw siebie na środku facyatki; czas jakiś milcząc patrzyli na siebie, a potem oboje naraz jednym głosem wyrzekli:

— Ukradła!

Owego dnia Elżunia, córeczka właściciela dużego składu zabawek, była bardzo zajęta i szczęśliwa.

Pierwszy raz w życiu poszła dzisiaj na pensyą i pierwszy raz miała na sobie czarny kamlotowy fartuszek, z karbowaną falbanką u dołu. Koleżanki podobały jej się bardzo, nauczycielki były takie dobre, a najlepsza—sama pani przełożona, która ją pochwaliła za pilność i porządek i powiedziała, że Elżunia będzie pewnie bardzo zdolną uczennicą.—Egzamin do pierwszej klasy powiódł się doskonale, — rodzice byli zadowoleni, a ciocia podarowała Elżuni tuzin kajetów z różnokolorowymi bibułami i całe pudełko naklejek, pieczętek i wstążeczek.

Przypominając sobie to wszystko,—Elżunia usiadła przy stoliku, rozłożyła przed sobą swoje skarby, otworzyła słoiczek z gumą arabską i poczęła z wielkiem staraniem okładać kajety, dobierać bibuły i przyklepiać wstążeczki pieczętkami.—W połowie tej nowej i przyjemnej dla siebie roboty, usłyszała nagle jakieś podniesione głosy i szlochy dochodzące z kuchni. Ktoś płakał, — ktoś drugi wymyślał i jeszcze parę osób piskliwie coś naraz opowiadało. Elżunia zerwała się od stolika i wybiegła z pokoju. W kuchni przy drzwiach wchodowych stało dwoje dzieci i dwie kobiety. Jedna z nich tęga, czerwona, z zawiniętymi rękawami, mówiła głośno, zwracając się do matki Elżuni, stojącej w pośrodku:

— A to proszę pani,—przepadła lalka, kiej kamień w wodę!

I ta powiada jeszcze, że nie wzięła, choć nikogo obcego w izbie nie było, jeno ona i służące pani...

— A my cobyśmy robiły z lalką! — krzyknęła jedna ze służących.

— Chyba pani rozum postradała—wołała druga.

— Ja przecie nie mówię, żeby panie wzięły, broniła się praczka,—jeno ta kobieta dla swej córki niedojdy. Patrzyła ci dziewczyna na lalkę tak, że aż jej oczy na wierzch wylaziły...—Prawda, Walek?

— Prawda, ani chybi!—wołał Walek.

— Pożyczyć chciała, a jak nie daliśmy, to sama wzięła! — wołała Antośka.

— O mój Boże! mój Boże! — skarżyła się wążka, szczupła kobieta przy drzwiach, zakrywając twarz rękami.

Matka Elżuni zwróciła się do praczeki:

— Zaczekajcie,—rzekła,—pozwólcie mówić tej pani.

— Niech wam tak Bóg odpuści!—zawołała tamta, odzyskując głos.—Niech wam Bóg odpuści!

— Wielmożna pani!—mówiła, zwracając się do matki Elżuni—mam chore dziecko... bardzo chore! Uboga jestem, ale uczciwa. Chciałam pożyczyć lalki, to prawda, —ale nawymyślały mnie i mojemu dziecku te złe, okrutne...—wskazała na Walka i Antoškę.

Ledwie wyszła—ja i służące pani z bielizną, —wpadają do mnie oni i odrazu: „Ukradła!“ Ani się zapytali! Zginęła im lalka, więc to ja wzięłam! O mój, Boże! mój Boże!—A tam moje dziecko...

Wielmożna pani! ja przyszedłam prosić... czy czasem w tę bieliznę nie wpadła lalka... Bo widziałam ją w koszu...

— Bielizna jeszcze nie wyjęta. Przynieście kosz!—rzekła do służących matka Elżuni.

— Spokojnym ludziom głowę zawracać — mruknęła praczka.

— Antoška! — teraz mi się widzi, żeś ty ją w kosz rzuciła! szepnął do ucha siostrze Walek.

Tymczasem służące przyniosły kosz, postawiły go na środku i poczęły zwolna odwijać bieliznę z maglowników.

— Jest!!—zawołały nagle obiedwie z radością.

— Dziękiż ci Boże!—wykrzyknęła z ulgą biedna szwaczka.

Z pomiędzy bielizny wypadła rzeczywiście lalka „Stokrotka“.

Elżunia, która dotychczas z wielką uwagą słuchała tej całej sceny,—zaciekawiona bardzo, posunęła się naprzód i przez ramie jednej ze służących zajrzała do kosza.

Nagle w oczach jej wyraziło się najwyższe zdumienie, schyliła się szybko, podjęła lalkę i spojrzawszy na nią, zawołała nawpół z płaczem;

— Mamó! mamó! to przecież jest lalka „Stokrotka“!!

Wszyscy obrócili się zdumieni.

— Jaka lalka?—Co za „Stokrotka“? —dopytywała się matka.

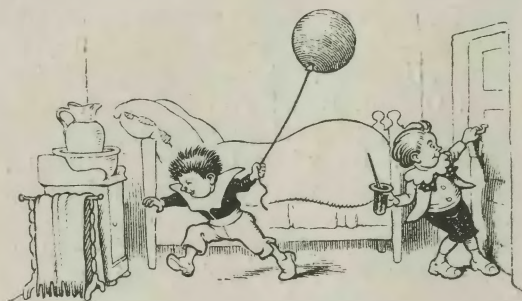
— Ta sama, którą zeszedł wiosny ojciec sprzedał jednemu bogatemu panu! Ja nazwałam ją „Stokrotką“. — O, biedactwo! jak ją zniszczyli! Tylko koleczyki w uszach ma jeszcze te same. Gdzie twój różowy kapelusz, gdzie twoja jedwabna suknia, laleczko nieszczęśliwa! Jak ja ciebie kochałam! Imyślałam, że cię już nie zobaczę nigdy! Co się z tobą działo?

I nawet odpowiedzieć nie możesz!

Lalka „Stokrotka“, wyciągnięta nagle ze swego ukrycia, parzyła osłupiałemi oczyma na Elżunię. Wszystkiego byłaby się spodziewała prędzej, niż dostać się do rąk tej drogiej, kochanej dziewczynki, o której zachowała dotychczas najmilsze wspomnienie. Chciałaby rzucić jej się na szyję, uściskać, opowiedzieć jej całą swoją niedolę i nie dać się wziąć od niej nikomu. —Ale była tylko lalką, więc sztywno przyjmowała pieśczęty Elżuni, najlepszej z tych wszystkich dziewczynek, jakie znała.

(d. c. n.)

## Strach



Dwa dzieciaki raz dostały  
Do rąk śliczny balon mały  
I powzięły wnet ochotę  
Swojej niani zrobić psotę.



Nakreśliły nos i usta  
I jest głowa chociaż pusta,  
By zaś zrobić postać całą,  
Przywiesiły chustę białą.

## pod pierzyną.



— W górę teraz z tą pierzyną!—  
Ciągnie jeden z dobrą miną,  
A zaś drugi, trzpiot nielada,  
Balon z trenem na spód wkłada.  
Późno wieczór stara niania  
Zabierała się do spania



I stękając odrobinę,  
Chciała z łóżka zdjąć pierzynę!  
Nagle...—O ja nieszczęśliwa!—  
Coś z pod rąk jej się wyrywa,  
I wyfruwa strach balonem  
Z pustą głową i ogonem.

## O czem babcia opowiadała Zosi?



Jak Jadwiga jechała do Polski.

— Opowiedz, babciu, proszę, o tem, jak Jadwiga przyjechała do Polski, mnie jej bardzo żal.

— Opowiem, Zosiu, a może mniej żałować będziesz młodej królowej: Pamiętasz kiedy z dachu spadło gniazdo wróbla, biedny ptaszek drżał, łopotało w nim serduszek od strachu, ale się uspokoił prędko, bo ostrożnie przeniosłaś go do koszyka, w którym nowe usłaliśmy dla niego gniazdko. Jak z tym pisklęciem, tak było z Jadwigą, którą panowie polscy zabierali z gniazda od matki.

— I od babci Elżbiety, prawda?

— Nie, moja Zosiu, stara Elżbieta Piastówna umarła już wtedy, jak jej syn, król Ludwik, panował. Sierotka-Jadwiga żegnała się tylko z matką i to jednak pożegnanie było bardzo smutne. Drżała biedaczka, niby biedny wróbel, ale panowie polscy, którzy po królewne pojechali na Węgry, zrobili tak jak z ptakiem.

— Co zrobili, babciu, nie rozumiem?

— Usłali w Krakowie na Wawelu nowe gniazdo dla swej młodziutkiej pani, a potem zbliżali się do niej ostrożnie, żeby nie nastraszyć ślicznego dziecka.

— Ty będziesz królem polskiem, a my będziemy ci służyli wiernie. Oddamy za ciebie krew i życie, serca nasze pod twoje stopki złożymy, tylko pokochaj Polskę i bądź nam panią dobrą — mówili rycerze.

— Oni poczcwiwie mówili, babciu.

— Poczcwiwie mówili i prawdę mówili, bo choć ci panowie szlachta na wojnie rębacze byli okrutni, gotowi Tatarom lub Niemcom ścinać głowy niby makówki, to młodziutkiej dziewczeczki strzegli, jak się strzeże cudny kwiat, żeby go zły wiatr nie zmroził i służyli jej, jak pszczoły służą swojej królowej w ulu.

Prędko też Jadwiga przestała płakać za Węgrami i nie dziw się temu, Zosiu. Polacy byli dla niej dobrzy, a bawiła ją też i podróż daleka przez góry Karpackie. Jechała piękną kolebką, całą od złota lśniąca, czasem zaś, gdy skinęła paluszką, przyprowadzano do kolebki ślicznego konia, okrytego aksamitnym czapakiem, który mienił się od złota, szkarłatu i drogich kamieni.

Jadwiga gdy konia dosiadła wyglądała jak cudny kwiat, wśród przetkanego klejnotami kobierca.

— To było ślicznie, babuniu; ale czy jechano tak ciągle w dzień i w nocy?

— Gdzietam, odpoczywano przecież! Co noc zajeżdżał orszak królowej do zamków spotykanych po drodze, bo ziemia polska nie

była wtedy, Zosiu, uboga jak teraz. Gdzie spojrzała Jadwiga z kolaski, czy na prawo, czy na lewo, wszędzie stały wspaniałe grody z dachami, świecącymi od pozłoty, z murami, wieżami, kaplicami, basztami, których nie opisać piękności. Te śliczne zamki moja Zosiu, to były domostwa szlachty-rycerzy, a domyślasz się, prawda? że rycerze stroili je jaknajpiękniej na przyjęcie młodej pani i cieszyli się bardzo, gdy weszła w podwoje ich grodu. Jakie zaś w tych grodach zastawiano pyszne uczty dla królowej, ile tam na stołach było ciast i cukrów, win i miodów słodziutkich, ile bakalii, sprowadzonych z dalekich krajów, tego opowiedzieć nie potrafię. Wiesz jednak, Zosiu, co cieszyło Jadwigę więcej niż wszystkie przysmaki i wszystkie piękności rycerskich zamków?

— Co, babciu, powiedz?

— To Zosiuniu, że po całej Polskiej ziemi rozeszła się wieść radosna:

Przyjeżdża do Krakowa,  
Młoda, śliczna królowa,  
Dobra jak anioł z nieba,  
Chodźmy, witać ją trzeba!

wołano od Karpat, a to wołanie rozlegało się aż po morze Bałtyckie. Ze wszystkich wiosek na ten głos biegł lud naprzeciw wnuczki Piastów, wnuczki tego króla Łokietka, którego przecie nie kto, tylko jacy tacy, chłopcy krakowiacy ukryli w Ojcowie, a potem królem okrzyknęli na Wawelu.

Cieszyła więc Jadwigę najwięcej miłość z jaką witał ją lud polski. Biją wszystkie dzwony krakowskich kościołów, z wszystkich kościołów idą procesye naprzeciw królowej, a chorągwie trzepocą się od wiatru, świece ogromne jarzą w rękach, panny białe ubrane niosą kwiaty, trąby i bębny przygrywają.

— To Krakowianie Jadwigę witają, prawda, babciu?

— Prawda, Zosiu, a witają tak radośnie, że aż serce w pierśsiach rośnie. Widzisz, obydwie powiedziałyśmy do wiersza, bo z wielkiego szczęścia słowa same w pieśń się układają.

Wielkie zaś było szczęście ta miłość całego ludu polskiego do ślicznej, dobrej dziewczeczki, którą królem polskim ukoronowano.

— Zabawny król, babciu, prawda; ale powiedz jeszcze, czy ten król Jadwiga chodził na wojnę, sądził, rządził jak Łokietek, lub Kazimierz?

— Jadwidze, moja Zosiu, pomagali we wszystkich sprawach rycerze, a ona słuchała ich dobrej rady. Była jednak jedna najważniejsza sprawa, kogo Jadwiga wybierze za męża, ale o tem opowiem ci jutro

— Dziś, dziś, babciu, to takie ciekawe. Powiedz zresztą przynajmniej nazwiska książąt, którzy się z Jadwigą żenić chcieli.

— Dobrze. Jeden był Niemiec, Wilhelm, a drugi Litwin, Jagiełło.

— Niemiec? Oho już wiem, że Jadwiga za niego nie pójdzie, jak nie poszła Wanda.

Z. B.

